Maria KUNOWSKA-PORĘBNA

PANI PROFESOR

Jako podlotek widywałam ją w Smołowie pod Olsztynem, gdzie po wojnie w zabytkowym pałacu biskupa Ignacego Krasickiego, dzięki uprzejmości warmińskiej kurii biskupiej, lokowano wakacyjne obozy sportowe dla studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, stwarzając równocześnie możliwość wypoczynku dla rodzin pracowników. Miejsce było piękne – położone nad rzeką Łyną, wśród lasów urodzajnych w grzyby, maliny, niebotyczne pokrzywy i wyjątkowo kąśliwe rude mrówy, dziwnym trafem zespolone z najpiękniejszym maliniakiem. Kompleks składał się z efektownej bramy wjazdowej, zabytkowego pałacu i drugiego mniejszego budynku usytuowanego na lekkim wzniesieniu, z obszernych zabudowań gospodarskich, w których zorganizowano stołówkę. Poza ogrodzeniem w otoczeniu wysokich srebrnych świerków stał duży drewniany barak przerobiony na nastrojową kaplicę.

Opisywana część mieściła się po lewej stronie od bramy, przeciwną zaś zajmował obszerny park krajobrazowy. A w nim – altana pod starymi drzewami, a właściwie wiekowy kamienny stół, który zajmował w każdy pogodny ranek profesor Juliusz Kleiner z żoną. Profesor w tej malowniczej scenerii pisał kolejny tom monografii o Mickiewiczu. Wówczas nie wolno było tamtędy chodzić. Cokolwiek zdziczały park miał elegancko wygracowane alejki, o utrzymanie których dbali studenci... karani w ten sposób za jakieś organizacyjne przewinienia. Karne gracowanie, odbywające się w czasie, gdy inni zażywali kąpieli lub odbywali jakąś wyprawę, weszło do repertuaru piosenek w postaci monotonnie powtarzanego jednego słowa: „Gracuj, gracuj, gracuj, gracuj". Miałam wtedy własne ścieżki, ale spotykałam Panią Profesor na sobotnich ogniskach. W razie złej pogody spotkania odbywały się w obszernej, ciemnej stołówce.

Pamiętam wspaniałego solistę, Kazika z historii sztuki. Jego murzyński taniec, podobnie jak i pomysłowe przebranie to były majstersztyki. Blady, złotowłosy przemieniał się w ognistego murzyna z wielkimi złotymi kolczykami w uszach i w nosie, sprawnie zwijającego się w takt piosenki: *Tańczy Sambo, czarny jak smoła.*

W pamięci pozostał mi refren śpiewanego tam KUL-owskiego „hymnu”:

Białe czapki wszędzie wiodą prym,
Białe czapki to jesteśmy my.
Huczy nami Lublin.
Tętni nami Lublin
I uśmiecha się przez mgły.
Słyszało się też zabawne żale:
Bo to studencka dola taka już,
Nad którą łezki roni Anioł Stróż
Bo przecież Boże miły
Często ponad jego siły.
Znieść tyle utrapień i życiowych burz.

Pamiętam Panią Profesor otoczoną wesołym tłumkiem, powracającą na czas posiłku znad Łyny. Z rozpuszczonymi mokrymi włosami, tryskającą energią, radosną, jak otaczająca ją banda. To był ktoś nietypowy w środowisku. Szczególnie te długie i mokre włosy budziły rodzaj zgorszenia wśród... dostojnych pań profesorowych.

Kiedy znalazłam się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim jako studentka polonistyki, okazało się, że opiekunką pierwszego roku jest Pani Profesor. Miała opinię osoby wymagającej, jednak na wspólnych imprezach bawiła się razem z nami, ale wtedy śpiewało się już inne piosenki:

Niech smutki precz zginą,
W kieliszkach błyszczy wino.
[...]
Uśmiechnij się jasno,
A wszystkie smutki zgasną.
Kieliszki dźwięczą w rękach:
Niech żyje piosenka.

Ale najbardziej lubiliśmy popisowy numer Pani Profesor z jej głośnymi krzykami:

W tawernie meksykańskiej raz
Siedziałem i spędzałem czas.
Dwa colty w olstrach wisiały,
Hawajki śpiewały.
Carramba!

Studentów na poszczególnych latach – przed Październikiem – było niewielu, uczyliśmy się i bawiliśmy wspólnie. W ramach działalności rozrywkowej, jako słuchacze pierwszego roku, zorganizowaliśmy wielkanocne jajko, na które zaprosiliśmy Panią Profesor, równocześnie prosząc panią dr Marię Kossowską, z którą często spotykaliśmy się na gramatyce opisowej. Przygotowaliśmy zabawne kuplety, przeważnie pomysłu Elżbiety Pałuckiej, z których w pamięci

została mi piosenka na melodię poloneza: *Pożegnanie Ojczyzny*, dedykowana panu Adamowi Rodzińskiemu, który prowadził ćwiczenia z etyki:

Postępowanie zbadaj swe:
Czy jest etyczne, czy też nie.
Czyśćcowa dusza [rzeczony p. Adam] zawsze gotowa jest ci
Pomóc w każdej kwestii, w konsultacji znieść ci
Niepewności twoje.

Miała swoją piosenkę i pani Kossowska, zwana Babką:

Szary mrok, szara ulica, szare palto
I hełm na głowie także szary bywa, [opis był adekwatny]
Spotkać jej nie warto, studentko nieszczęśliwa.

Śpiewka nawiązywała do sposobu sprawowania przez rzeczoną Babkę funkcji kuratora domu akademickiego na Chopina, czyli do wieczornych spacerów starszej pani po ciemnych uliczkach, po to, by „łapać" randkujące studentki. Na drugi dzień odbywała się rozmowa z delikwentką, podczas której padało sakramentalne pytanie, czy widziany wczoraj pan ma poważne zamiary?

Był też kuplet nawiązujący do tak zwanych nauk pomocniczych, które wykładał późniejszy profesor, Jerzy Starnawski. Jemu na melodię popularnego wówczas *Szewczyka* śpiewaliśmy:

Oj, studencie nie bądź głupi,
Szczęścia za fiszki nie kupisz.
Oj, kolego miły studia, studia.
To nie taka prosta rzecz.

Żadnego tekstu skierowanego pod adresem Pani Profesor jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

We wspomnieniach Pani Profesor pozostała jednak nie tylko jako osoba lubiąca rozrywkę. Na co dzień wykładała nam literaturę powszechną średniowiecza i renesansu. I jeśli do tej pory mówi mi coś nazwisko Bedy Czcigodnego czy imię mniszki Hroswity – to tylko jej zasługa. Do egzaminu na koniec roku przygotowywaliśmy się bardzo porządnie, bo krążyły legendy o tym, jak się Pani Profesor sroży, czy wręcz złośliwi. Podobno z upodobaniem dopytywać miała siostry zakonne o... *Dekameron*. Jedna z koleżanek poszła na ów egzamin bardzo wystraszona. Pani Profesor, widząc stan delikwentki, otworzyła szeroko okno, zaczekała, aż dziewczyna się uspokoi, i dopiero zaczęła egzaminować. Luśka wyszła z piątką i do końca życia miała tę chwilę we wdzięcznej pamięci.

Zanim jednak odbył się ów egzamin, przyszedł pierwszy maja i Pierwszy Rajd Świętokrzyski. Pani Profesor postawiła na nogi prawie wszystkich z mojego roku. Wędrowaliśmy przez trzy dni bezdrożami Łysogór. Bez map – bo były wtedy objęte tajemnicą wojskową! Szliśmy według bardzo skomplikowa-

nych wskazówek przewodników, którzy na wieczornych odprawach przekazywali drużynowym swą wiedzę o terenie. Odbywało się to metodą: kiedy wyjdziecie poza zabudowania, po stu metrach skręcicie w lewo, tam będzie mostek, potem prosto i będzie znak... Dzień zaczynaliśmy – mowa o KUL-owskiej grupie – Mszą świętą w kościele napotkanym na trasie; a szedł z nami kolega, polonista z trzeciego roku – werbista, ksiądz Tadeusz Dworecki. Na organach grywał kolega z mojego roku Marian Wańczowski, któremu zdarzało się wpleść po komunii jakiegoś walczyka, na co mruczał któryś proboszcz. Z tej wędrówki Pani Profesor nie pamiętam. Mam natomiast w pamięci piękny poranek, kiedy obudziwszy się gdzieś po czwartej, natarczywie zachęcała zaspane „dziewczyneczki" do kąpieli w pobliskiej rzece. Nikt z propozycji nie skorzystał. Innym razem, kiedy Pani Profesor już wyświeżona wróciła do „sypialni", głośno śpiewając, Janeczka – znany śpioch – wysunęła nos spod koca z pretensją: Która to idiotka o tej porze się wydziera! I zorientowawszy się, o kogo chodzi, czym prędzej zanurkowała z powrotem pod koc. Nie było żadnej draki – na rajdzie Pani Profesor była kumplem. Napisała i wykonała przy ognisku długą pieśń dziadowską o naszych kłopotach:

Niech go kaczki kopną, kto ten rajd wymyślił,
Przez niego my wszyscy do dziadostwa przyszli.
Cierp, cierp, dusza moja, a beńdziesz zbawiona,
Bo jak nie wycierpisz, beńdziesz potampiona.
Przez to nasza ciała w słomie się badziała,
A drobna żywiołka haniebnie kąsała.
Cierp, cierp...

A z autentycznego repertuaru wileńskiego Pani Profesor pochodziła liryczna piosenka, której nauczyła swoje „dziewczyneczki":

Już kareta zajechawszy:
Czy ty kochasz mnie?
Bardzo, bardzo ciebie lubia,
Ale kochać – nie!
Cztery lata już po slubie:
Czy ty kochasz mnie?
Bardzo, bardzo ciebie lubia
Ale kochać – nie!
Już dwa ciała leżą w grobie:
Czy ty kochasz mnie?
Wszystkich dawno zapomniawszy,
Ale ciebie – nie!

I tak zaraziła nas trochę upodobaniem do włóczęgi. Po zakończeniu pierwszego roku poszliśmy grupą kilkunastu osób na Roztocze, a w następnym roku znowu na Rajd Świętokrzyski. Po drodze był Październik z jego przemianami i nie musieliśmy już przekładać energii na ilość przebytych kilometrów. Otworzyły się możliwości szerszego działania, choćby w ramach Zrzeszenia Studen-

tów Polskich, traktowanego wtedy nie jak kolejna przybudówka polityczna partii, ale jako rodzaj związku zawodowego studentów. Październik przyniósł liczne zmiany natury politycznej, także na naszym uniwersytecie. Otóż w latach wcześniejszych pobudzona społecznie młodzież angażowała się w Paksie. Czas popaździernikowy zaowocował masowym wycofywaniem się z tej organizacji, co wówczas nosiło miano „odcinania się".

Potem przyszedł trzeci rok studiów i konieczność wyboru proseminarium. Wybrałam zajęcia Pani Profesor. Z tego czasu wspominam wielką wyprawę całego proseminarium do Krakowa na sesję z okazji pięćdziesięciolecia śmierci Stanisława Wyspiańskiego. Prymitywne warunki w domu noclegowym przy ulicy Wenecja nie mogły przesłonić walorów tygodniowego pobytu w samym sercu kultu Wyspiańskiego – wypraw na wystawy, zwiedzania kościołów, uczestniczenia w spektaklach Teatru im. J. Słowackiego, w którym grano wówczas *Wyzwolenie* i słynnego Teatru Rapsodycznego inscenizującego *Króla-Ducha* Słowackiego.

Pod patronatem Pani Profesor opracowałyśmy z koleżanką, Elżbietą Pałucką, referat z Norwida na zjazd kół polonistycznych w Toruniu. Wtedy już odwiedzało się Panią Profesor we współlokatorskim mieszkaniu przy ulicy Chopina. Jej pokój wypełniał regał z książkami, skromne biurko, jakieś łóżko. Na ścianie królowała piękna fotografia głowy Matki Boskiej Bolesnej w ciemnych ramkach, a za szybą regału niewielkie zdjęcie Ostrobramskiej. Z czasem przybył jeszcze wspaniały, zakomponowany w cerkiewnych czerwieniach *Archanioł Michał* Nowosielskiego.

Koleżanki z akademika na Chopina opowiadały kiedyś, jak ratowały nocą dobytek Pani Profesor wdzięcznie pływający po pokoju, bo pękła rura centralnego ogrzewania i cała zawartość wylała się w mieszkaniu na parterze.

W praktyce niewiele się tam przez lata zmieniało. W ciemnym przedpokoju trzeba było przez długi czas uważać, żeby nie przewrócić roweru sąsiadki. A w niewielkiej kuchni ściśle przestrzegać, czyja jest konkretna półka. Razem z Panią Profesor zamieszkiwała jej matka. Pani Profesor, mimo braku umiejętności praktycznych, przez lata organizowała dla niej opiekę. Dopiero złamanie nogi w biodrze przez seniorkę wymusiło przeorganizowanie tego układu – matkę zabrała druga córka, mieszkająca w Warszawie.

Potem, z rozpędu, poszłam na seminarium profesor Sławińskiej. Wtedy po raz pierwszy wyjechała do Stanów, a nas w zastępstwie przejął profesor Zgorzelski. Uporządkowany do maksimum, stanowił kontrast Pani Profesor, która chętniej wytyczała podniebne szlaki, niż nakazywała robienie fiszek, przypisów. Przed wyjazdem zorganizowała nam jedynie całość prac badawczych, podsuwając jako ogólny temat dzieje sceniczne konkretnych sztuk. Była to wtedy problematyka nowa, gdyż dopiero pojawiały się pierwsze prace na ten temat. Rzucała więc studentów na głęboką wodę. Opracowano którąś ze sztuk Norwida i komedię Józefa Korzeniowskiego *Panna mężatka*. Ja wybrałam temat

o roli rekwizytu w dramatach Wyspiańskiego. Prace te wymagały od nas znacznego wysiłku: trzeba było starać się o zdjęcia z poszczególnych spektakli, przeszukiwać archiwa teatralne, a potem materiał ten umiejętnie interpretować. Z tym wszystkim przeszliśmy pod inną rękę, do kogoś, kto wyliczał, sumował, wyciągał procenty... w poezji! Widocznie coś jednak z tej lekcji wyniosłam, bo do dziś zdarza mi się korzystać z przeliczeń, szczególnie procentowych, na przykład przy ocenie proporcji w tomie encyklopedii.

Powrót Pani Profesor ze Stanów zbiegł się z chorobą naszej koleżanki. Mocno tę sytuację przeżywała. Kiedyś powiedziała, że chciałaby ją wziąć do siebie, po to, żeby być blisko, żeby trzymać ją za rękę.

Z Ameryki poza wiedzą przywiozła nowe idee. Od tej pory uważała, że nasi studenci lenią się, nie pracując w czasie wakacji, jak ich koledzy zza oceanu. Pracę uznała za sprawę pierwszoplanową, dlatego naciskała na wszystkich swoich seminarzystów, aby poszli pracować do szkoły. Wszyscy. I koniecznie – do szkoły. W związku z tą ideą wyraźnie jej podpadłam, rozpoczęłam bowiem pracę... na uniwersytecie. Zresztą, narazić się można było bardzo łatwo: po pierwsze, gdy się było... dziewczyną. Następna „krecha" to było zamęście. A już, nie daj Boże, posiadanie dzieci. Koleżance, której zdarzyło się urodzić dziecko przed magisterium, doradzała oddanie dziecka do babci, żeby nie przeszkadzało w ukończeniu pracy dyplomowej.

Znany na uniwersytecie był wielki spór ideowy: czy kobieta-pracownik nauki powinna czy nie powinna wychodzić za mąż. Profesor Pliszczyńska, wykładowca na klasyce, w tym momencie stawiała siebie za przykład, nasza Pani Profesor obstawała twardo przy swoim zdaniu, że nauka wymaga rezygnacji z założenia rodziny.

Jej powrót ze Stanów przywrócił dawne zasady: trzeba było co tydzień meldować się na konsultacji. Owe konsultacje sprowadzały się de facto do sprawozdań, co przez ten czas się zrobiło. W innych sprawach dawano nam wolną rękę.

Miłość Pani Profesor do teatru zaowocowała odkryciem osoby Jerzego Zawieyskiego. Ten ówczesny poseł wielokrotnie pomagał KUL-owi, ratując go z różnych opresji, w które wpędzały go władze komunistyczne. Pani Profesor celebrowała tę znajomość. Pan Jerzy przyjeżdżał na nasz uniwersytet z wykładami o teatrze, a właściwie o reformie teatralnej, które były dość nudne, bo wykładane rewelacje można było już przeczytać w dostępnych opracowaniach. Gościł też na uniwersytecie jako autor granych w Teatrze Akademickim misteriów, przyjeżdżał z wieczorami autorskimi, na których odczytywał fragmenty nowych sztuk.

Po ukończeniu studiów znajomość trwała nadal. Obowiązkowo chodziło się na imieniny, zdarzały się też wizyty z innej okazji. Wtedy bywała kawa parzona w specjalnych naczynkach zwiezionych z jakiejś wyprawy i kupne ciasto – gospodyni bowiem poczytywała sobie za chlubę, że ugotować umie tylko wodę

i kisiel. Przez gościnny pokój przewijali się coraz inni ludzie. Dużo później zorganizowała seminarium doktoranckie. Brały w nim udział osoby z różnych roczników, przyjeżdżające z różnych stron – między innymi Irena Rupikowa ze Śląska, jakaś dziewczyna z Siedlec, z miejscowych Grażyna Gorecka, Anna Truskolaska. Bywali też rusycystka Maria Cymborska-Leboda, dr Barbara Stykowa, dr Wojciech Kaczmarek. Referowało się dokonania naukowe. Pamiętam własne wystąpienie z komunikatem o tym, co kryją informacje o amatorskich inscenizacjach zamieszczane w prasie diecezjalnej w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Był to dla Pani Profesor okres eksploracji religijnego teatru amatorskiego. Utkwił mi także w pamięci referat Anny Truskolaskiej o oprawie liturgicznej Triduum Paschalnego w dziewiętnastowiecznych tekstach. Z owych posiedzeń zapamiętałam żywiołowy wybuch Pani Profesor, kiedy któraś referentka śmiała się powołać na literaturę... radziecką. To była erupcja wulkaniczna.

Wielkim triumfem Pani Profesor było wręczenie doktoratu honoris causa Czesławowi Miłoszowi. To jej zabiegom zawdzięczamy uhonorowanie laureata Nagrody Nobla na naszym uniwersytecie. KUL obchodził wtedy – na fali narodowego przebudzenia roku 1981 – wielkie radosne święto. Był miejscem spotkania Związkowców z Wałęsą oraz z laureatem, miejscem, w którym zebrali się najwięksi aktorzy tego czasu, by swoimi recytacjami uczcić Mistrza. A Pani Profesor po wygłoszeniu świetnej laudacji rozpływała się w uśmiechach. Miłosz był dla niej kimś ważnym. Wielokrotnie z wielkim naciskiem podkreślała, że po sześćdziesiątce nauczył się hebrajskiego, aby tłumaczyć Pismo Święte.

W ogóle nauka języków obcych to był jej konik. Animowała letnie kursy językowe, między innymi języka angielskiego w Pewli Małej i języka francuskiego w Szewnej, ściągając na nie zagranicznych lektorów. Kursy owe pilnie nadzorowała i przez lata chętnie sama w nich uczestniczyła.

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce na uroczystym wręczeniu jej nagrody lubelskich literatów za wspomnieniową książkę. W pięknym wnętrzu Czytelni Profesorskiej przyjmowała kwiaty i gratulacje, odgrodzona ścianą głuchoty. Jeszcze obecna, ale już oddalona.

Otworzyła mi perspektywę wyjścia poza tradycyjnie uprawianą polonistykę, nauczyła odkrywać nowe dziedziny, wskazała potrzebę samodzielności w realizacji życiowych pasji.